

Pierwszy
artykuł
z cyklu
„Fantazje
przyszłości”

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”

Niedziela 27 V 1956

Rok VII Numer 21

HUMANIZM i CYWILIZACJA

Napisał: dr Wł. Krzyżaniak

Starożytność wydała wspa-
niałych i śmiałych ludzi.
Demokryt przed przeszło 24 wie-
kami orzekł istnienie atomu.
Einstein w naszych dopiero cza-
sach orzekł równoważność ma-
sy i energii. Geniusz starożytno-
ści nie tracił w tym porówna-
niu. Pitagorejczyk ujęł
Wszechświat matematyczną my-
ślą, orzekając go próżnią prze-
cinaną regularnymi torami
brył materii. Potężne wrażenie
tego obrazu nie błędnie wobec
ambicji XX wieku dokonania
wreszcie naukowego patrolu w
Kosmos. Fizycy i matematycy
starożytności rozwiązyali proble-
my, wkładając w to trud, pomy-
słowość i precyzję, wytrzymu-
jące — w wymiarze epok — po-
równanie z konstrukcją atomo-
wego stosu i „mózgu elektrono-
wego” doby dzisiejszej. Arysto-
teles wyrzekł ostatnie słowo sta-
rożytności w zakresie metody
nauki — znowu w wymiarze e-
pok — przypomina swój ge-
nius fizyczny naszych czasów
symboliką równań różniczko-
wych opisujących Wszechświat.

Symbole epok

Sredniowiecze nie było też
tylko intelektualną nocą. Potę-
pianie go w czambuł jest igno-
rancją i niedobrym nawykiem
„zagorzałych Szawłów”. Ludzie
średniowiecza też umieli myśleć,
pracować i żyć intensywnie.
Nie wszyscy palili czarow-
nice i uprawiali samobiczowa-
nie. Istniały zastępy rzetel-
nych myślicieli, uczonych: Ara-
bów, chrześcijan i Żydów. Gdy
popelniali błędy, czynili to bez
perfidii, przynajmniej ci rzetel-
ni. Anglik Roger Bacon w XIII
wieku myślał kategoriami na
wskrosz dzisiejszymi, uczył i
wierzyl, że wiedza — to cywili-
zacja. Jako uczonego ufali tylko
doświadczeniu i nie pochwalali
mystycyzmu przy badaniu
Wszechświata. Papież Klemens
IV był entuzjastą pomysłów
Rogera, jego „verne'owskich”
wizji okrętów bez wiosel i żagli,
samoporuszających się „z
gwałtowną prędkością” pojaz-
dów. Zbrakło protektora i wy-
pełzło „średniowiecze”, to w
złym wydaniu. Roger poszedł za
kratą, a jego dzieła na indeks.
Roger jest tu tylko symbolem.
Przestrzega przed zarzuca-
niem płacidy pogardy na całe stule-
cie ludzkiej pracy i myśli. Jest
też symbolem trwającego pocho-
du ludzkości w każdej epoce,
hamowanego nawet bezsprzecz-
nie obciążającymi zwyrodnien-
iami.

Skrzydła i olów

Odrodzenie rozbliska świet-
nością nazwisk: Bruno, Tele-
sio, Campanella, drugi Bacon
— Franciszek, Kopernik, Leo-
nardo da Vinci. „Tyle władzy,
ile wiedzy” — oto program
„młodszych” Bacona w walce
człowieka z przyrodą. Wiedza
przestaje być celem w sobie.
Przejmując zadania praktyczne:
„obdarzać wynalazkami i bog-
actwem”. Bacon w czołowiec
pochodu wyznacza miejsce na-
ukom technicznemu. O tym sa-
mym myśleli już greccy sofisci,
lecz ich głos zagłuszyła speku-
lacyjność nauk starożytności.
„Młodszy” Bacon, herold cywili-
zacji technicznej, jest wszak-
że przezorny, gdy „rozczina”
przyrodę: „Umysłowi ludzkie-
mu nie skrzydeł trzeba, ale o-
łowiu”. To genialny protest
przeciw antynaukowej fan-
tazji...

Darujemy sobie w kalejdosko-
powym przeglądzie nazwiska ty-
sięcy dalszych nowożytnych ty-
tanów: Pascala, Newtona, Leib-
niza, d'Alemberta, któż by ich
wszystkich wymienić?

Kruki

Nazwiska spadałyby teraz la-
wina. I lawina też narasta dziś
wiedza oraz obzary jej zastoso-
wania. Dzieje się to wręcz w
naszych oczach. „Wczoraj” fizy-
ki staje się „dzisiaj” techniki.

cywilizacja nie może wprost do-
trzymać morderczego tempa wy-
ścigu nauk. Wśród rozwijającej
się błyskawicznie cywilizacji
świata dzisiejszego miesiąc o-
znacza dawne stulecie. Obraz
znowu potężny! Przytłacza jed-
nych, zachwyca drugich. Po nie-
bie cywilizacji współczesnej tłu-
ka się kruki i szybują orły. Kra-
kanie miesza się z szumem co-
raz bardziej wytężanych skrzy-
deł.

Skąd pochodzi ten chór nie-
zgodny? Lawina cywilizacji u-
nosi człowieka w przepaść; tak
wieszczą kruki. Cywilizacja to-
ruje drogę na szczyt ludzkiego
szczęścia; tak wieszczą orły.

Przysłuchajmy się krukowi!
Odkrycia naukowe, to rzecz ka-
prysu czy ślepego trafu. Cywili-
zacja młodzi pancerz moralny
jednostek ludzkich. Siekie-
ra trafia do ręki szaleńców. Na
uka nie wie, gdzie idzie. Kiedy
już wie, za późno na odwrót ze
złej drogi. Sztaby cywilizacji za-
mykają uczonych do bunkrów.
Przejmują w lot każdy ich po-
mysł, zwłaszcza w dziedzinie
technik strategicznych. Możemy
dziś nie chodzić, umiemy
jeździć lub latać. Możemy nie
dźwigać, kopać łopatą kana-
łów, umiemy posłużyć się szyb-
kim transportem, skruszyć
dział wodny atomowym wybu-
chem. Czy wygrywamy walkę
przeciwko czasowi? Zawrotny
rytm zgina brutalnie w dół
krzywą naszej długowieczności.
Miasta „cuchną” benzyną
i dymem, rzucają ludźmi w po-
spieszonych windach na szczyty
wieżowców, metra unoszą kilo-
metrami w czeluściach tunelów.
W tym wszystkim — zagubiony
jest człowiek, wyniesiony mo-
loch cywilizacji technicznej, a
zdeptany humanizm.

Orły

Przysłuchajmy się orłowi! Ku
jakim kresom wiedzie nas cy-
wilizacja?

Wygraliśmy walkę z czasem!
Przelamaliśmy już barierę pręd-
kości dźwięku: 333 m/sek. To
1200 km/godz. Pracujemy nad
przelamaniem bariery pręd-
kości przyziemnej: 8 km/sek.
Pierwszy sukces — to okraża-
nie Ziemi w granicach doby,
drugi — to perspektywa uciecz-
ki od niej w poszukiwaniu
przygody we Wszechświecie. W
statkach powietrznych przy-
ziemnych przyszłości zadowo-
limy się prędkością mniejszą od
prędkości ucieczki. Wybierając
się w przelot Warszawa—Syd-

ney nie chcemy wszak stać się
mieszkańcami sztucznego księ-
życa, ani wylądować na Mar-
sie. Powietrzny pociąg rakieto-
wy o prędkości bliskiej 8 km/
sek. będzie kresem osiągnięć
lotnictwa. Srebrzyste jego bo-
lidy będą zjawiskiem tak po-
spolitym, jak rower na wiejs-
kiej drodze. Jeżeli będziemy
głowy zadzierać ciekawie, to
przy odlocie rakiety między-
planetarnej lub... nowiu sztucz-
nego księżycy.

Wobec szczupłości autostrad i
ulic, wyposażymy wszystkich
w odrzutowe helikoptery: po-
staracie śmigłowem zagra już a-
tolyda. W powietrzu jest dużo
miejsca. Ustalimy standardy pu-
łapów. Automat przeprowadzi
przelot i lądowanie u celu.

Przestaniemy w ogóle praco-
wać fizycznie. Natomiast nie
przestaniemy myśleć, czuć, ko-
chać i tworzyć dzieł sztuki, łow-
ić ryb dla przyjemności lub
grać „atomowo” w tenisa. Be-
dziemy radośni i silni. Wykorzy-
stamy bezwzględnie wiedzę De-
mokrytów i Einsteinów. Pra-
cować za nas będzie bezpośred-

nio lub pośrednio energia epo-
ki. Atomowa!

Zwalimy kominy fabryk,
przestaną zatrwać powietrze.
Armie górników wyjdą spod
ziemi, odetchną pełną piersią,
cisze opustoszałych kopalni
pokryje rychło niepamięć.

Błyskawica czy słońce?

16 lipca 1945 zapaliliśmy w
pustyni Nowego Meksyku pier-
wsze sztuczne słońce. Wtedy
byliśmy jeszcze bezradni wobec
ogromu błyskawicy wyzwolonej
energii. Potrafimy już jednak
kontrolować łańcuchową reak-
cję. Silniki atomowe wypra-
wsz wszystkich rywali. Czy nie za-
braknie paliwa? Oceany są dość
głębokie. Jeden gram masy każ-
dej materii to według wzoru
Einsteina 9 billionów kilogra-
mometrów energii! Wystarczy
jej na podniesienie 9 tysięcy
ton masy na wysokość 1000 km!

Opracujemy popularne silni-
ki atomowe. Każda choć trochę
uciążliwa praca zlecimy tym
posłusznym i licho odpłatnym
pracownikom. Wódor oceaniczny
przetwarzamy w hel wystar-

(Ciąg dalszy na str. 3)

„KASZUBSKI STRADIVARIUS”



Lotnik kaszubski Paweł Płonka z Wejherowa (województwo
gdańskie), to znana postać wśród muzyków Wybrzeża.
Wielu z nich posiada wykonane przez niego skrzypce, od-
znaczające się wyjątkowo czystą barwą tonu. W ciągu
długich lat pracy Lotnik z Kaszub wykonał dziesiątki
skrzypiec, skrzypczek, gitar i innych instrumentów. W
ostatnim czasie drogą żmudnych doświadczeń skon-
struował nowy typ instrumentu muzycznego. Jest to
tak zwana gitarola (instrument pośredni między cytrą
a gitarą). Paweł Płonka obchodził niedawno 60-lecie
swoich urodzin.

Na zdjęciu: „Kaszubski Stradivarius” przy strojeniu
gitaroli.

CAF — Fot. Kosycarz

Nurt postępowy w prasie polskiej

Piękne i dawne tradycje
ma postępowy nurt w pra-
sie polskiej. Jeszcze przed po-
wstaniem pierwszej periody-
cznej gazety polskiej w 1661 r.
pod nazwą „Mercuriusz Pol-
ski” krążyły po kraju ciete,
złośliwe satyry, wyszydza-
jące bezlitośnie możnowładców
i kler zacofany, zwłaszcza je-
go górne warstwy. Były to
anonimy, kryjące autora
przed mściwością, możnych.
Odegrały one rolę hamulca
przestępstw i nadziwić, korek-
tura obyczajów.

W miarę zbliżania się na-
szych czasów wzrasta w kra-
ju liczba czasopism, wśród
których złotymi zgłoskami za-
pisują się w dziejach prasowi
heroldowie postępu. Praso-
znawcy oceniają ilość tytu-
łów postępowych pism co-
dziennych i periodyków od te-
go czasu na blisko tysiąc. Ży-
wot ich byłby nierzadko krótki
lecz oddziaływanie długie i
skuteczne. Budziły sumienie
narodu, krzeszały patriotyzm,
walczyły z ciemnotą masy
szlacheckiej, broniły chłopca
przed uciskiem i wyzyskiem.
Takim pięknym przykładem
postępowej myśli była w

XVIII wieku „Gazeta Obywa-
telska i Patriotyczna” pod
redakcją ks. Józefa Meiera w
czasie powstania kościuszkow-
skiego, a po rozbiorach sa-
tyryczne „Wiadomości Bru-
kowe” wydawane w Wilnie. W
Warszawie ukazywała się li-
teracka „Gazeta Polska” i
„Kurier Polski”, a w czasie
powstania listopadowego Mo-
chnackiego „Nowa Polska”.

Gdy powstanie upadło i za-
częła się długa noc niewoli,
gdy w kraju nie można było
wydawać legalnie pism postę-
powych — na emigracji za-
częły wychodzić takie pisma,
jak „Postęp”, będący aktem
oskarżenia możnowładców
polskich, winnych upadku Pol-
ski, jak pismo „Północ”, pierw-
sze czasopismo propagujące
wspólną walkę polskich i ro-
syjskich rewolucjonistów o
obalenie caratu. A nad
nimi górowała wielkością
rozmachu, szerokością o-
gólnoludzkich ideałów wolno-
ści Mickiewiczowska „Trybu-
na Ludów”, która rzuciła w
twarz tyranom słowa: „Wal-
ka rewolucyjna musi być nie-
ubiegana i bezkompromiso-
wa, tak jak nieubiegana i

bezkompromisowa jest walka
reakcji z rewolucją”.

Gdy w kraju szalała cenzu-
ra carska nie milkły głosy po-
stępu w prasie polskiej. Wal-
czyli o szczęście ludu „Prze-
gląd Naukowy” piórem Edwar-
da Dembowskiego, szerzył
idee postępowe „Tygodnik Li-
teracki” i „Rok” wydawane w
Poznaniu, a zasilane artyku-
łami tegoż Dembowskiego.

W Kongresowce rozpala
się coraz bardziej walka z ca-
ratem. Zbliżają się dni „świę-
tego szaleństwa” — wybuch
powstania styczniowego. Mi-
mo apelów Hercena, aby po-
wstanie polskie zsynchroni-
zować z ruchem rewolucyj-
nym rosyjskim, rozpoczyna
się walka spowodowana bra-
ką Wielkopolskiego. Wraz z
tą walką powstaje podziemna
prasa. Kierunek lewicowy
czerwony reprezentują „Głos
Warszawy”, „Ruch”, „Pobud-
ka”, „Kosynier”, „Wiadomo-
ści z Pola Bitwy”. Po upadku
powstania 1863 roku tak sa-
mo jak po 1831 roku, co
światlejsze i postępowe umy-
sły emigrują z kraju, aby na
obczyźnie głosić dalej hasła
wolnościowe. W 1879 roku wy-
chodzi tam zaczyna socjali-
styczna „Równość” z Ludwi-
kiem Waryńskim jako współ-
redaktorem na czele, a nieco
wcześniej utopiina, socjali-
styczna „Gmina” i „Zmowa”.
„Równość” dzięki współpracy
Waryńskiego stała się wyrazi-
cielką naukowego socjalizmu
w kraju i zdecydowanie prze-
ciwstawiała się nacjonalizmo-
wi naszej burżuazji. Wycho-
dzące w tym czasie nielegal-
ne czasopismo „Proletariat”
prezentowało interesy klasy
robotniczej.

W miarę krzepnięcia ruchu
socjalistycznego i wysunięcia
się na jego czoło Socjalnej
Demokracji Królestwa Pol-
skiego i Litwy rozwija się i
mnoży prasa postępową. Za-
czynają wychodzić „Sprawa
Robotnicza” pod redakcją
Juliana Marchlewskiego i Ro-
ży Luksenburg, „Czerwony
Sztandar” i Piotrogrodzka
„Trybuna”, w Poznaniu —
„Gazeta Ludowa”. Blisko
ćwierć wieku ze szpałt tych
pism przenika do społeczeń-
stwa ideologia marksistow-
ska. Pisma te walczą z reak-
cją i obskurantyzmem, na
ich łamach znajduje odbicie
walka ludu polskiego o na-
rodowe i społeczne wyzwole-
nie, walka o wolność i rów-
ność wszystkich ludzi.

Bogate pozycje wśród pism
postępowych zajmuje prasa
Komunistycznej Partii Pol-
skiej z jej „Czerwonym Sztan-
darem” na czele. Aż do jej
nieuzasadnionego, jak wiemy,
rozwiązania i tragicznych
działań wielu przywódców
KPP istniało sporo pism ko-
munistycznych, z których wy-
różniły się „Nowy Przegląd”
organ społeczno-teoretyczny,
pismo młodzieży komunisty-
cznej „Towarzysz” i liczne
pisma więźniów politycznych.

Gdy rozgorzały walki wy-
zwolencze w Hiszpanii, ochot-
nicza brygada im. Jarosława
Dąbrowskiego, zaczęła wyda-
wać pismo żołnierskie „Da-
browszczak”. Dawało ono bo-
gaty materiał polityczny,
świetne reportaże z pola wal-
ki, informowało o życiu pol-
skim i sytuacji międzynaro-
dowej. „Dąbrowszczak” miał
znakomitego poprzednika we
Włoszech z czasów walk legio-
nów Henryka Dąbrowskiego.
Było to pismo „Dekada Legio-
nowa” wydawane w Mantui
przez poetę Cypriana Godeb-
skiego. „Dekada Legionowa”
głosiła hasło, że „prawo żoł-
nierza ma być zarazem uświa-
domionym w kraju obywatel-
em”. Na piśmie tym wyci-
snęła swe piętno wielka re-
wolucja francuska.

W czasie okupacji hitlerow-
skiej podziemna prasa pol-
ska była liczna i różnorodna.
Z pism Polskiej Partii Robo-
tniczej wymienić trzeba prze-
de wszystkim „Trybunę Wo-
jności”, „Trybunę Robotni-
czą”, „Walkę Młodych”. Z
formacji powstańczych Gwar-
dia Ludowa posiadała swój
organ pod nazwą „Gwardia-
sta”, który w lutym 1914 roku
przyjął nazwę „Armia Ludowa”.
W okresie okupacji wy-
dawała się „Wolna Polska” i
„Nowe Widnokręgi”, wyda-
wane przez Związek Patrio-
tów Polskich a dla dywizji
im. Tadeusza Kościuszki uka-
zywało się pismo „Żołnierz
Wolności”, którego nazwę
przejął obecnie organ Wojska
Polskiego.

Niemal jednym tchem wy-
mieniliśmy nieco tytułów po-
stępowych pism codziennych
i periodyków, aby przypom-
nieć, jak dawny i głęboki jest
nurt postępowy prasy pol-
skiej. Bezpośrednio z tych
wspaniałych tradycji wyro-
sły nasze dzisiejsze dzienniki
i czasopisma, które pochlubić
się mogą metryką sięga-
jącą końca XVIII wieku

Henryk BARAŃSKI

Andrzej Zeyland

Z młodej poezji poznańskiej

Pierwsza miłość

Chodziłem pod two okno —
trzynastoletni księżyc
z procą i w krótkich spod-
niach
tylko patrzeć i srebrzyć.

W oknie była firanka.
na pewno, pierwsza w świe-
cie.

którą ujrzałem wtedy —
firanka z twoim cieniem.

Nie znałem twojej twarzy,
ni koloru twoich włosów —
zapisalem w zeszycie
wszystkie noce bez oczu.

Zapisałem na kartce
niebieski rozkład jazdy —
powiedz, do której zechcesz
popłynąć ze mną gwiazdy?

O jedną noc za późno
wyslałem list do ciebie —
nad ranem pierwszy po-isk
firankę zdarł z twoim cie-
niem.

Niedziela

Brzeg się odsunął
cicho, nieznacznie
i lekko skinał
sosnowym lasem.

Zanurzam wiosło
za twoim wiosłem
w wodę i niebo,
w błękit i msiądz.

Pochylił żaglem
ucieka obłok —
ramiona za nim
iranęły w poron.

I czas się liczy
ruchami wiosel,
lub w miejscu staje
razem ze słońcem.

Jak dobrze wtedy
w środku jeziora;
cheesz? słońce dotknę
na twoich włosach.

I tak już zostań
z oczyma w niebie,
by mi powiedzieć
wszystko — milczeniem.

Sztuki wychowania trzeba się uczyć

Napisał prof. dr Józef Kwiatek

Większość rodziców, posiadających dorastające dzieci, na pytanie: jaki jest główny cel ich życia, wyliczyłaby na jednym z pierwszych miejsc zadanie wychowania dzieci na „porządnych” obywateli. Świadczy to o zrozumieniu roli wychowania w procesie kształtowania się osobowości człowieka, członka konkretnego społeczeństwa. Jednak ze zrozumieniem roli i potrzeby wychowania nie idzie w parze przeświadczenie, że w tym zakresie nie się samo nie dzieje, że człowiek nie rodzi się ani dobrym ani złym, a to czym jest w późniejszym życiu, jest m.in. w ogromnym stopniu wynikiem różnorodnych wpływów środowiska i takiej czy innej pracy wychowawczej.

Szczęście naszych dzieci, ich pozycja społeczna, szacunek czy ewent. pogarda społeczeństwa, zależą od tego, jakie cechy charakteru zdołamy rozwinąć w dzieciach w procesie świadomej, planowej i systematycznej pracy wychowawczej. Pedagogicznie błędna jest postawa wielu rodziców, wyrażająca się w beztroskim stosunku do młodzieńczych wybrzyków syna czy córki, ujęta w powiedzeniu: „sam z tego wyrośnie” lub „gdy urośnie to zmadrzeje”. Wychowanie polega na wyrabianiu w dzieciach pożytecznych przyzwyczajeń, nawyków i wartościowych cech charakteru, a te właściwości nie rodzą się same z siebie, a są wynikiem systematycznej i cierpliwej pracy wychowawczej!

ka i dlatego też nie może sama za wyniki wychowania odpowiadać. W okresie przedszkolnym (do siódmego roku życia dziecka) szkoła nie ma na niego żadnego wpływu. Wtedy zaś, gdy dziecko uczęszcza do szkoły, to pod opieką nauczycieli po zostaje ono zaledwie parę godzin dziennie, a większość dnia przebywa poza zasięgiem oddziaływania wychowawczego nauczycieli: w domu lub wśród kolegów. I w ciągu tych licznych godzin bardzo często albo nikt nie wychowuje dziecka, albo wychowuje je ulica, kształtując społeczne nawyki i postawy.

Odpowiedzialność domu i szkoły

Proces wychowania realizowany jest w interesie dziecka, jego rodziców i całego społeczeństwa. Za wyniki wychowania odpowiada też nie tylko szkoła, ale odpowiedzialność za wychowanie ponosi również dom rodzicielski i całe społeczeństwo. Skuteczna walka np. z chuligaństwem czy pijactwem wśród młodzieży może być podjęta tylko poprzez solidarną i konsekwentną pracę szkoły, rodziny, wszystkich zakładów pracy, instytucji społecznych i każdego obywatela, którym dobro kraju leży na sercu. Większość rodziców i pod tym względem chciałaby spełnić swój obywatelski obowiązek. Jeżeli jednak „na codzień” starsi nie zawsze zdobywają się na wysiłek (bo jest to istotnie wysiłek) wychowawczy, to dzieje się tak dlatego, że albo nie doceniają wagi tej pracy w kształtowaniu się charakteru dziecka, albo — co ma miejsce najczęściej — nie wiedzą, jak w danej sytuacji postąpić, jak wychowywać. Same dobre chęci i tzw. intencje nie wystarczą do tego, aby dobrze wychować dziecko. Rodzice, tak jak wychowawcy — muszą się więc uczyć trudnej, a tak potrzebnej sztuki wychowywania.

Związek Nauczycielstwa Polskiego w porozumieniu z władzami oświatowymi i pracownikami pedagogicznymi niektórych wyższych uczelni w Poznaniu, chcąc przyjąć z pomocą rodzicom w poznawaniu psychiki dzieci i właściwych metod wychowawczych, zorganizował Uniwersytet Wieczorowy dla Rodziców. Zadaniem Uniwersytetu jest popularyzowanie wśród rodziców wiedzy pedagogicznej. Prelegentami są doświadczeni pedagogowie-wychowawcy. Zajęcia są organizowane w ten sposób, że po referacie wprowadzającym na określony temat, odbywa się dyskusja, by zebrani mieli okazję przeanalizować konkretne trudności wychowawcze i sposoby ich usunięcia czy też za-

pobieżenia im. Instytucja ma przyjąć rodziców z pomocą i dlatego zajęcia zaplanowane są tak, by nie kolidowały z ich pracą zawodową. Przewiduje się jedno zajęcie na dwa tygodnie — w godzinach wieczornych.

Instytucja tego rodzaju jest u nas nowa. Będzie ona przy czynnym współudziale społeczeństwa — słuchaczy wypracowywała swój styl i metody pracy. Dla realizowania tych zadań powstaje przy Uniwersytecie Rada Naukowa, złożona z pracowników naukowych wyższych uczelni, pracowników oświatowych zatrudnionych w szkołach czy administracji szkolnej oraz z przedstawicieli słuchaczy.

TRAGEDIA PAULA ABRAHAMA

„niepożądanego cudzoziemca”

Przed kilku dniami zamieszczono w prasie zachodniej krótką notatkę, w której pojawiło się nazwisko Paula Abrahamy, a wszyscy, którym nieobce są przepiękne melodie z operetek „Kwiat Hawaju”, „Bal w Savoy”, „Wiktoria i jej huzar”, powiązali je od razu z osobą słynnego kompozytora. Dzieje jego niezwykle popularności przypadają na lata trzydzieste naszego wieku, kiedy to Abraham był na ustach całego świata. A potem, gdy w Niemczech nastąpiła era „brunatnego barbarzyństwa”, kompozytor zmuszony był uciekać. Droga zawiodła go, jak wielu innych, do Ameryki.

Dramatyczne przejścia i wypadki wpłynęły w bardzo poważnym stopniu na zachowanie równowagi psychicznej kompozytora i pogłębiły się jeszcze więcej na skutek konieczności zachowania anonimowości i braku zajęć. W rok po zakończeniu wojny, nastąpił w jego psychice ostry kryzys. Pewnego dnia nowojorska City stała się w godzinach największego ruchu widowiskiem niesamowitej sceny, kiedy to pewien starszy pan stanął na środku jezdni i zaczął dyrygować niewidoczną orkiestrą. I podczas gdy liczne operetki światowe rozbrzmiewały nadal melodiami jego sztuk, Abraham znalazł się w zakładzie dla obłąkanych, gdzie zmuszano go do zamiatania schodów i zmywania talerzy.

Tu odkryła go pewna austrijska śpiewaczka i zaalarmowała środowiska muzyczne na całym świecie. Znaleźli się wreszcie przyjaciele w Europie, którzy zawiązali komitet, aby umożliwić choremu kompozytorowi wyjście z ponurych murów szpitalnych. Jednocześnie wszczęli starania o tantiemy autorskie, należne mu z tytułu wystawiania jego sztuk. Po długotrwałych procesach udało im się zdobyć dla niego honorarium w kwocie... 350 dolarów miesięcznie.

Obecnie Stany Zjednoczone odesłały Abrahama wraz z dal szymi pięćdziesięcioma chorymi osobami do Europy, jako niepożądanych cudzoziemców.

Na lotnisku w Niemczech zachodnich przywitał Abrahama grono przyjaciół w asyście małej orkiestry, która odegranymi melodiami miała wywołać w nim dawne wspomnienia. Tylko przez kilka chwil słuchał schorzały kompozytor w postawie pełnej dramatycznego napięcia, a potem przestał reagować. Nie udało się próba przywrócenia go do normalnego życia...

Nie dla sensacji, oczywiście, podaliśmy tę wiadomość, gdyż tragedia Abrahamy rzuca światło nie tylko na ponure dni minionie, lecz również na stosunki panujące obecnie w Ameryce. Dla ludzi chorych i niepożądanych deportacja jest tam jedyną drogą wyjścia. (J)

Rzeczowy argument

Gdy 34-letniego Mediolanczyka Gilardonego przywieziono do szpitala powiedział, że został okaleczony przez ładające talerze. Pokiwno nad nim głowa i nałożono mu opatrunki. Wkrótce potem ustalili policja, że pacjent doznał obrażeń od... talerzy stołowych, użytych jako „argument” przez jego żonę.



Hanna Krupianka (Godiwa) — Janusz Barański (Zeofryk)

PIĘKNO FIKCJI POETYCKIEJ czyli o potrzebie marzenia

B. Danowicz

Utylitarystyczna i szczegółowa programowość różnych form naszego życia społeczno-kulturalnego szczególnie niekorzystnie zaważyła na intelektualnym i duchowym rozwoju młodzieży akademickiej. Dotychczasowy szkolarski system studiów zabierał najcenniejszy skarb wieku młodzieńczego, jakim jest jego wolny czas na dumanie. Młody człowiek nie miał czasu ani możliwości zajęcia się samym sobą. Jego osobowość poddawana była rygorom różnych „zasadniczych społecznych” oddziaływań i dyrektyw, nie pozostawiających marginesu dla przemyślenia jego własnych i prywatnych przekonań.

Ten okres swoistego schematyzmu akademickiego, przeciwnego w swych założeniach naturalnej fizjologii wieku młodzieńczego, bardzo okaleczył duchowo naszą młodzież, spijając jej życie intelektualne i uczuciowe.

Wiek młodzieńczy nie stał na wywołany filozoficznie kompromis życiowy. Nie znajdując w otoczeniu naturalnych pożytków dla właściwego temu wiekowi okresu „burzy i naporu”, z jego wygórowanym indywidualizmem oraz romantycznym idealizmem, młodzi zaczęli stawiać się otwarcie cyniczni i oportunistyczni.

Studia uważano za środek zapewniający dobrą posadę, otwierającą dalsze możliwości lepszego użytkowania życia. Szybko poczęli dewaluować się takie pojęcia, jak — przyjaźń i koleżeńska bezinteresowność. Młody człowiek zaczął zasklepiać się w skorupie klasnego egotyzmu. Sprawy erotyczne młodych ukonstytuowane na tak powierzchownym podłożu uczuciowym i intelektualnym, pozbawione właściwej im obsłonki poetyckiej, stały się naturalistycznie wyrażane. 20-letni „Don Juan” poklepywał z miną zblazowanego 40-letniego łowelasa — „16-latkę”, pozuając już na heroinę z przedwojennych romansów Marcyńskiego.

Młodzież jednak wreszcie zbuntowała się. Sztuczne ohamowania jej życia umysłowego i uczuciowego rozdziły naturalny ferment. Ten protest przeciw schematom, scholastycyzmowi i wywołany przez nie nienaturalnym wypaczeniem wyszedł z młodych środowisk artystycznych, czyli z grupy ludzi najbardziej wrażliwych na nieszczerotę i sztapmową fasadowość życia studenckiego. Wystawa młodych w Arsene, pasjonująca publicystyką młodych dziennikarzy w „Po Prostu”, rewelacyjne programy studenckich teatrzyków satyry, burzliwe dyskusje studentów we wszystkich niemal ośrodkach akademickich kraju zapoczątkowały przełom w życiu umysłowym młodzieży studenckiej.

Wydało mi się, że wystawie nie poematu dramatycznego Leopolda Staffa pt.: „Godiwa” przez ambitny zespół studentów UAM może stać się w tej dyskusji ciekawą, eksperymentalną propozycją, nakłaniającą młodych do refleksji nad istotą i szerszą perspektywą własnych przeżyć w ogóle, sublimacją wzruszeń erotycznych oraz twórczą siłą wyobraźni i marzenia.

„Godiwę” (1906) i wcześniejsze „Skarb” (1904) pisał Staff w atmosferze buntu „Młodej Polski” przeciw utylitarnej, mieszczańskiej koncepcji życia. Ludzie ginący w obronie wymagowanego skarbu, i Gralek wylupujący sobie oczy po nasyceniu ich widokiem nagiej Godiwy — symbolizują wyższą wartość świata mieszczańskiego, który w swojej zasa-

dnicej strukturze jest wulgarny, cyniczny i antyhumanistyczny. Staff nie negując konieczności istnienia tego świata, stwarza jednak z tych idealnych wartości fikcję nową, jakby i wyższej rzeczywistości, w której człowiek byłby lepszy, wrażliwszy na piękno i sztukę.

W rozdziewku między dwiema tymi kategoriami rzeczywistości właściwą sobie funkcję spełnia ma marzenie. Treść marzenia jest jednak nazbyt wzniosła, bogata i obszerna, aby mogła zostać zrealizowana, pozostawmy ją więc w jej kształcie poetyckim. W zetknięciu z rzeczywistością pęknie jak bańka mydlana lub pochłonięta przez nią straci cały urok i powab niezależności swoich myśli i uczuć. Dlatego wyższą wartość nad realizację marzenia posiada samo tylko pragnienie jego ucielesnienia.

Marzenie porusza umysł i serce, budzi wyobraźnię. Powstaje i kształtuje się w człowieku model czynu i działania z najrozmaitszymi jego wariantami. Pragnienie podsyca, ale i oddala zarazem moment realizacji marzenia. Ćwiczmy więc naszą wyobraźnię, umysł i wolę. Niech pragnienie będzie ta przesycona niecierpliwością, lecz świadomie odwieczną poczekalnią przed ostatecznym wejściem do ogrodu szczęścia. Niech czyn będzie celowym i przemyślanym aktem wyboru. Oto współczesna sugestia prawdy artystycznej dla naszej młodzieży, jaką wyłuskać możemy z metafor poetyckich Staffa. Godiwa ginie z rąk okrutnego Leofryka, za znawczy tylko pieszczoty pocatunku z ust oślepiego Grajka, kochającego czar Godiwy „czystą miłością snu”.

Poznańska „Godiwa” oczarowała nas pięknym i melodyjnym słowem staffowskiej poezji. Poezja ta, choć nie wolna od wielostopnia, rozsuwała przed nami coraz to nowe i sugestynniejsze obrazy.

Może dobrze się stało, że studenci kreujący rolę mieszczańcy byli tak nieporadni na scenie i śmiesznie naiwni w swoich reakcjach i zachowaniu. Była to naiwność i strwożona nieporadność dzieci lub kukiełek, które swoją nieruchomością nie przeszkadzały Hannie Krupiance i Kazimierzowi Braunowi w plastycznym naszkicowaniu postaci Godiwy i Grajka. Ta para bezpretensjonalnością i umiejętnością szczerzego przeżycia oddalała się zdecydowanie od reszty wykonawców. Braun poruszał się na scenie z wrodzonym jakimś wdziękiem.

Hanna Krupianka zaskoczyła nas dość zaawansowaną dojrzałością aktorską swojej Godiwy. Co prawda, ani jej partner (skarykaturowany a la mistrz Pathelin-Zeofryk, ani reżyser (I. Kanicki), nie ułatwili jej tej trudnej roli. Naiwność schematów w ustawianiu postaci na scenie (scena ze sztyletem) odebrała Godiwie dużo z tego tak potrzebnego w udratyzowaniu

jej postaci żywego tła scenicznego. Pomimo to Krupianka ze swobodnym umiarem i zmiennymi kadencjami głosu podkreślała trafnie tragizm wahanja Godiwy między miłosnym pragnieniem a jego oddalającym się dopełnieniem.

Hanna Stefanowska (Znajda) ujmowała nas swoją bezpośredniością, a Olga Wierzbowska (służebna) próbowała nawiązać jakiś sensowny kontakt z Godiwą. W sumie warto zobaczyć to przedstawienie, choćby ze względu na Staffa, który pisał je przed 50 laty nie przewidywał na pewno, że w scenie przejazdu na koniu nagiej Godiwy czynny będzie magnetofon...

Młodzi studenci, PWSB B. Michałowska i Cz. Kowalski z godnym pochwały umiarem, lecz z przesadnym trochę chłodem akademickim zamarkowali zaledwie szkielet dekoracji. Profesorowi Z. Eustachiewiczowi gratulujemy udanego wyboru „Godiwy” i przypomnienia nam Staffa — dramaturga.



Kazimierz Braun (Grajek)

Fot.: G. Wyszomirska — „Fotos”

O WIECZORZE MŁODEJ POEZJI

W jedną z majowych sobót w sali imprezowej Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki odbył się wieczór autorski młodych poetów poznańskich. Impreza zorganizowana przez Koło Młodych była na pewno jednym z wysiłków rozłupania ślimaczej skorupy kulturalnego Poznania.

Wieczór odbył się w przyjemnej atmosferze i dał żywy przegląd młodej twórczości poetyckiej naszego miasta i regionu. Nie będę krytykował wygłoszonych wierszy, sprawą oceny programu zajęli się nasz krytyk Stanisław Hebanowski. Zadaniem moje go artykułu jest zwrócenie uwagi na pewne postulaty wysuwane przez odbiorców poezji, a mogące się przydać przyszłym organizatorom podobnych imprez.

A więc dyskusja. Audytorium składało się z osób różnego pokroju, stąd różnice w ich wypowiedziach. Kiedy dyskusja przeszła do zagadnień poezji nowoczesnej, wyczuwano się kompletny brak znajomości jej nowych nurtów.

W dyskusji bodaj tylko raz padło nazwisko Różewicza, wybitnego nowatora formy poetyckiej i chyba w ogóle poezji współczesnej. O nowych sylwetkach, które nie-

dawno wyłoniły się na światło dzienne jak Harasymowicz, Herbert czy nawet Czyż w ogóle nikt nie nadmieniał, mimo że swego czasu tyle atramentu na ich temat wylał Przybysz w „Życiu Literackim”. A przecież jeśli rozważa się zagadnienie poezji nowoczesnej, to trudno ominąć nowe, niejednokrotnie wprost zaskakujące swą treścią i formą wiersze wymienionych poetów.

Wypowiedzi były różne.

Jeden z dyskutantów stwierdził, że wiersz winien zawierać wszystko co dotyczy jego tematu, że nie może być w nim niedopowiedzeń. — Czyżby miał rację? — Nie. Na pewno nie. Wiersz problemowy (liryk niekoniecznie) powinien być tematem do dyskusji, powinien zawierać przy słowach haczyk zmuszający odbiorcę do myślenia. Jeśli wiersz tego nie posiada — przemija bez echa.

Inny dyskutant uważał, że aby dojść do poezji nowoczesnej, trzeba pisać w starych formach nieomal od Petrarki a szczególnie uprawiać formę sonetu. Wydaje mi się to zupełnie nieistotne. Usiłowanie by wtedy najnowsze treści zamknąć w starych przeżytych już formach. Oczywiście ze szkodą dla treści i formy, bo przecież buty dopasowuje

się do nóg a nie odwrotnie. Poza tym nie starczyłoby życia poety, jeśliby chciał we wszystkich formach (od najstarszych) osiągnąć względnie doskonałość. — Tak mogą twierdzić tylko ci, którzy na poezji połamali nogi kończąc na przeintelektualizowanej krytyce utworów poetyckich.

Dotknięto i innych strun w dyskusji. Padły projekty i zapytania:

— Dlaczego prasa miejscowa drukuje tak mało utworów młodych literatów?

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby wiersze recytowali młodzi aktorzy?

— W przyszłości trzeba by pomyśleć o oparciu muzycznej wieczoru poezji...

Uwagi dotknęły również kierownictwa KMPIK. — Zza kotary w wejścia do sali dobiegał hałas spóźnionej publiczności i dźwięk mytych naczyni w mieszczącej się na parterze kawiarni. Należy sądzić, że na przyszłych imprezach tego rodzaju, kierownictwo zapewni należyty spokój. Na wieczór przybyło około siedemdziesiąt osób. A więc frekwencja dopisała. Koło Młodych projektuje zorganizowanie podobnej imprezy w niedalekiej przyszłości z tym, że wezmą w niej udział nasi prozaicy, a więc do zobaczenia. Zapraszamy.

Janusz SAUER

Szeroki odgłos, jaki wzbudził projekt budowy pomnika Bolesława Prusa i przy padająca w tym roku 110 rocznica jego urodzin, uprzytomniły nam raz jeszcze wielkość tego znakomitego pisarza. Mijamy nadzieję, że pomnik stanie już wkrótce. Ale warto by także pomyśleć i o tym, aby w dniu odsłonięcia mogła ukazać się książka o Prusie przybliżająca szerokiej publiczności postać autora „Lalki”. Nie powinna to, sądząc, być uroczysta biografia. Raczej bezpretensjonalnie kreślony portret w stroju codziennym. Najlepiej może zbiór wspomnień kolegów i przyjaciół. Wspomnień rozproszonych do tychczas po drukowanych, lub nawet niedrukowanych pamiętnikach, w starych rocznikach czasopiśmie i publikacjach okolicznościowych. Dla przykładu podam garść sze-

dział się po pokoju, medytował, namyślał. Przerabiał i poprawiał i znowu wstawał, znowu rozmyślał. Piszący te słowa znał przed wojną panią Antosię, która pracowała za młodu u sąsiadów Prusa, mieszkających w tym samym domu, przy ulicy Żurawiej, tylko o piętro niżej. „Pan Prus — mówiła — to zawsze całutką noc chodził po pokoju, tam i z powrotem, tam i z powrotem”.

Nie wszyscy może wiedzą, że pierwszym pseudonimem pisarza był Jan w Oleju. Pseudonim ten datował się jeszcze z gimnazjalnych czasów lubelskich. Uczeń klasy szóstej, Aleksander Głowacki, redagował wtedy szkolnego „Kurierza Lubusów”, zamieszczając tam liczne wesołe wier-

stwa, reformy etyki, nieśmier telności duszy, roli szlachty w naszej historii, teorii Maltusa, ścisłości prawideł logicznych, wszystko to przetrąwiało się w sposób mniej lub bardziej naiwny, ale cięty i bądź co bądź kształcący. Partia idealna, do której ja (Ochorowicz) należałem, czytywała Słowackiego i Syromię, podczas gdy partia trzeźwa, na której czele stał Głowacki, w ogóle lekceważyła poetów, jako rozkrzewiaczy sentymentalizmu i marzycielstwa. Istota ówczesnego prądu duchowego była reakcją przeciw hasiom romantyzmu — szlachecko — klerykalnym, dążenie do podniesienia siły myśli i rozwagi, siły charakteru przeciw uległościom wiary, wartości czynu w przeciwstawieniu do wartości siów.

Prus chorował na obawę przestrzeni i nie mógł chodzić po schodach. Dolegliwości te bardzo mu utrudniały obcowanie z ludźmi. Mimo to znał ich mnóstwo. A że w prywatnym życiu był niesłychanie barwną i zajmującą postacią, więc krążyły o nim niezliczone wprost anegdoty. Częstośmiewo zmyślone, w sporę jednak części prawdziwe. Nieśmiewo, z każdym rokiem ginie bezpowrotnie jakiś ułamek owych legend i drobnych ale cennych faktów. Czas największy, aby je utrwalić.

P. S. Przy okazji podaję kilka aforyzmów Prusa, raz jeden, o ile wiem, drukowanych kilkadziesiąt lat temu. Pochodzą z jego słynnego notetu.

Mój synu. Słuchaj nawet rad głupich, ażebyś wiedział, czego robić nie trzeba.

Najgęstszym grzebieniem nie wyczeszesz mądrości z pu stej głowy.

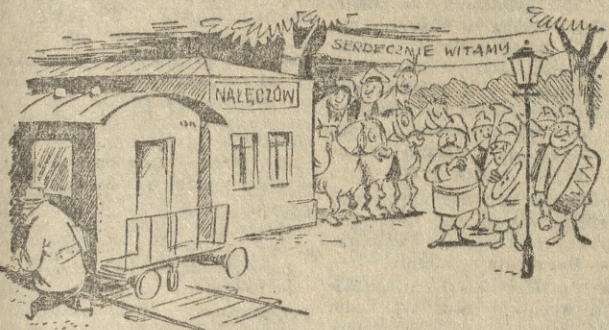
Choćbyś głupca nadział truf lami, nie zrobisz go apetycznym.

Gdzie się dwu bije, tam trzeci ma wiadomość do „Kurierza Porannego”.

Doktor wówczas traci uf-



148-letni koczownik — jeden z najstarszych obywateli ZSRR — Mahmud Ejuazow otrzymał order Czerwonego Sztandaru Pracy. Uroczystość odbyła się w Baku. Na zdjęciu: po dekoracji uczennica miejscowej szkoły zawiązuje dziadkowi chustkę pionierską. Fot. - CAF



głów zaczerpniętych z takich właśnie zapomnianych dziś materiałów.

Prus był niezwykle wprost skromny i nie znosił rozgłosu. Jeśli kto wspominał przy nim o jego zasługach — natychmiast odchodził. Kiedyś udał się do Krakowa, gdzie na dworcu witano go uroczystością bukietami kwiatów. Zanoszono się przy tym na mowy. Prus rąbnął parę dowcipów i z miejsc zlikwidował „podniosły” nastrój. Innym znów razem w Należowie, dokąd przez szereg lat jeździł na kurację, uformowano na przywitanie — tak zwana wówczas banderka, czyli orszak konny, który miał odprowadzić go ze stacji do sanatorium. Prus spostrzegł się i zemdlał okólną drogą, niezmiennie uradowany, że uniknął „tych głupstw”.

Kiedy indziej, w tymże Należowie, zobaczył pewnego dnia synka swoich znajomych, zaczytanego w jednej z jego książek. „Rzuć to — powiedział — chyba masz coś lepszego do czytania”. Nigdy nie miał pretensji, gdy spotykały go ujemne sądy o jego twórczości, choćby to były jak najbardziej niesłuszne i krzywdzące opinie. Raz jeden tylko poganiął się na dobre i nie zapomniał krytyki aż do końca życia. Stało się to, gdy Aleksander Świętochowski, słynny redaktor głośniego podówczas liberalnego pisma polskiego „Prawda”, a szkolny kolega Prusa, nazwał go „mar nym publicystą”.

Lubił natomiast wyrażać swoje uznanie innym. Słynne były „honorowe dziesiątki” Prusa, dziesięciogroszówki, a ściślej mówiąc srebrne pięcio kopiejki, które wręczał symbolicznie znajomym publicystom, ilekroć mu się podobał jakiś ich artykuł.

Tryb życia prowadził bardzo regularny. Za młodu nieko niecznie stronił od kieliszka i dosyć dużo palił, z czasem jednak całkowicie zaprzestał. Gorący zwolennik postępu na każdym polu, entuzjasta techniki uwielbiał wynalazki. Odkąd się pojawiły w Warszawie pierwsze „iluzjony”, stale chodził do kina. Lubił zwłaszcza filmy przyrodnicze. Sprawiał też sobie maszynowe do pisania marki „Hamond” i pisał na niej z wielką satysfakcją wszystkie swoje utwory, nawet powieści. Z tego powodu mało stosunkowo zachowało się rękopisów z ostatnich lat jego życia. W maszynopisach robił Prus wiele błędów literowych. Ale nie osłabiało to jego za pału.

Prus pisał zwykle wieczorami, a często i nocą. Było to jedynym zakłóceniem regularności — zresztą zrozumiałym, jeśli się zważy, z jakim wysiłkiem pracował. Nawet tak łatwe w czytaniu, zabawne i lekkie felietony i kroniki zabierały mu po kilka dni czasu. Napisał parę zdań i za raz wstawał od biurka, przecza-

szki, niekiedy nawet dość fry wolne. Wierszyki te, łączące z fantastyką poematem „Brys”, stanowiły zaczątek pisarski twórcy „Faraona”. Głowacki — jak zgodnie stwierdzali jego koledzy — był chłopcem bardzo wesołym i dowcipnym, dobrym matematykiem, a także poetą. Razem z kolegami celował w organizowaniu niezliczonych figlów i psot, popisów zięćności, odwagi i siły, od wyprawy na szczyt jezickiej wie zy lub o północy na emen tarz — do kawałów płatanych w klasie, na podobieństwo wszystkich uczniowskich pokoleń.

Ale wysoki temperamentu tworzył tylko jedną stronę medalu. A była i druga. „Gdy sobie przypomnę — pisze w pamiętniku Julian Ochorowicz, który razem z Prusem kończył liceum lubelskie — jak poważne kwestie dyskutowa no w tym gronie szesnasto i siedemnastoletnich mioko sów, podczas onych nocnych spacerów albo koleżeńskich herbatek, przeplatanych blaznowaniem, sztukami magicznymi i brzechomówstwem (które siał postrach wśród oberżystów na drodze z Lublina do Warszawy, odbywa reja wówczas w ciągu trzech dni w żydowskich omnibusach). Kwestia jedności sił, pochodzenia naszych pojęć, istota pamięci, pojęcia bó-

Rozmaitości

Studio filmowe „DEFA” (NRD) wyprodukowało w roku 1955 139 filmów popularno-naukowych. (A u nas?)

Słynna francuska gwiazda muzycznego pochodzenia Josephine Baker, po swych beneficjach w stepach w stolicy Francji, żegna się obecnie z publicznością holenderską i belgijską.

62-letnia Bridgins (Babeja!) w Pre torii (Afryka Południowa) zdała w tych dniach egzamin na pilota lotniczego z wynikiem dobrym.

Na pytanie ołów miasta Nienburg n. Wezera (Niemcy zach.) skierowane pod adresem okupacyjnych wojsk angielskich w sprawie zwrotu zarekwizowanych gmachów teatrów, władze wojskowe odpowiedziały, aby prośbę ponowiono w najbliższych... dwudziestu latach!

Film z pobytu Chruszczowa i Bułganina w Anglii wykonany został przez studio moskiewskie w 15 wersjach językowych.

Od kilku dni strajkują w San Francisco grabarze jedenastu cmentarzy munielipalnych.

Holenderskie Stowarzyszenie Ochrony Przyrody opracowało program budowy sztucznych gniazd dla bocianów; w ostatnim roku za notowano w całym kraju przyloty tylko 38 bocianów.

Otwarta w Moskwie wystawa książki francuskiej, pokazana zostanie w Leningradzie i w Kijowie; wystawie książki radzieckiej, którą zorganizowano w tym samym czasie w Paryżu, ujrzą z kolei Lyon i Bordeaux.

Prus chorował na obawę przestrzeni i nie mógł chodzić po schodach. Dolegliwości te bardzo mu utrudniały obcowanie z ludźmi. Mimo to znał ich mnóstwo. A że w prywatnym życiu był niesłychanie barwną i zajmującą postacią, więc krążyły o nim niezliczone wprost anegdoty. Częstośmiewo zmyślone, w sporę jednak części prawdziwe. Nieśmiewo, z każdym rokiem ginie bezpowrotnie jakiś ułamek owych legend i drobnych ale cennych faktów. Czas największy, aby je utrwalić.

P. S. Przy okazji podaję kilka aforyzmów Prusa, raz jeden, o ile wiem, drukowanych kilkadziesiąt lat temu. Pochodzą z jego słynnego notetu.

Mój synu. Słuchaj nawet rad głupich, ażebyś wiedział, czego robić nie trzeba.

Najgęstszym grzebieniem nie wyczeszesz mądrości z pu stej głowy.

Choćbyś głupca nadział truf lami, nie zrobisz go apetycznym.

Gdzie się dwu bije, tam trzeci ma wiadomość do „Kurierza Porannego”.

Doktor wówczas traci uf-

Mgr T. Wróblewski

Bocian leci

Ciekawostki o przesądach

„Kiedy bocian w gnieździe siedzi,
„To pociecha wam, sąsiedzi;
„A nad czyją nad chałupą,
„Z tym nie będzie latoś krucho”.

(Ze starego kalendarza)

Niewiele starych poznaniaków pamięta, że okolice dawnego placu Sapieżyńskiego cieszyły się niegdyś szczególnym przywilejem. Na chatkach i drzewach w tej dzielnicy mieszciano się mnóstwo bocianich gniazd. To osobliwe wyróżnienie tej właśnie okolicy przez bocianów wynikało zapewne z bliskości błotnych łąk i bagnistych rozlewisk, jakie rozciągały się niegdyś m. in. wzdłuż rzeczki Bogdanki na przetrze ni do Solacza, przez Przepadki do Grochowych Łąk. „Bocianka”, „Bocianowo”, „Bocki” to były nazwy nadwarciańskich okolic tuż pod naszym miastem, m. in. przy Drożce Dembińskiej. Toteż często na ulicach przedmieść słyszało się okrzyk: „Dzieci, dzieci — bocian leci”. Ów groteskowy ptak, zwany żartobliwie na wsi wielkopol-

skiej „panem Wojtusiem”, ucho dził niegdyś w oczach naszego ludu za ptaka nieledwie świętego. Szczęśliwym nazywano dom, na którym znalazło się bocianie gniazdo. Krzywdą bocianowi wyrządzona sprawadzała, według wierzeń ludowych, nieszczęście, najczęściej pożar domu i ruinę gospodarstwa. Co dziwniejsze przypisywano mu funkcje nosiciela dusz. Przeobrażona postacią tego wierzania jest bajeczka o bocianie, który przynosił dzieci, a przy pomocy której rodzice niekiedy tłumaczyli dzieciom sposób przybywania ich na świat. Co prawda współczesne dzieci traktują to jako szczególnie „dziecinny kawał”. Samo jednak zjawisko ilustruje w ciekawy sposób, jak żywe i niegdyś głębokie wierzenia tracą swą wartość, dewaluują się

i schodzą do roli bajki, anegdoty albo zabawki. Taka jest bowiem właściwość rozwojowego procesu myśli ludzkiej.

Pod postacią ptaka wyobrażano sobie niegdyś dusze ludzkie. Wyobrażenia tego rodzaju znamy ze starożytnego Egiptu. Jeszcze w XIX w. żyły one u niektórych ludów azjatyckich m. in. u Tadżyków, a w Europie u Czeremisów. Jako znaki zmarłych dusz umieszczano obok grobu tyczki z osadzonym na nich ptakiem z drzewa wyrzeźbionym. Jeżeli przypomni sobie, że według dawnego, przedchrześcijańskiego zwyczaj u, Słowianie po spaleniu zwłok na stosie składali prochy do urn, a te stawiali na słupach, wkopanych w ziemię na skrzyżowaniu dróg, to łatwo pojąć, dlaczego widok ptaka siadającego na takim słupie, czy stojącego obok urny wywoływał skojarzenie obrazu ptaka z pojęciem duszy. Warto wspomnieć, że na tych samych miejscach później znalazły się przydrożne krzyże lub słupowe rzeźby świętków. Upostaciowanie ducha i duszy w obraz ptaka żyje także po dzień dzisiejszy w wyobrażeniach religijnych m. in. chrześcijańskich. Także w mowie potocznej mówi się np. „dusza z niego uleciała”. Drogą tego rodzaju skojarzeń stał się m. in. bocian „nosicielem ludzkich dusz”, a w bardziej realistycznie-naïwnej postaci nosicielem dzieci. Proces tworzenia się wyobrażeń o duszy przebiegał jednak w sposób dość złożony. Według dawnych wierzeń ludowych dusze przodków wracają na świat w postaci dzieci. Nasze ludowe po wiedzenie „pójść do lali” znaczy umrzeć. Zmarłych przodków nazywano niegdyś na Słowiańszczyźnie określeniami „lela”, „lelak”, „lelka”. Nazwę tę przeniesiono zapewne na figurki wyobrażające zmarłych.

Oto dwie wizje, pesymistycznych kraków i optymistycznych orłów linii rozwojowej naszej cywilizacji. Krytyczny czytelnik będzie umiał dokonać rozumnej syntezy. Samodzielność myśli — to piękna cecha ludzka i nie trzeba dorosłych ciągnąć za rękę, zwłaszcza że do nich przemawiają fakty.

Pozostaje kość niezgody w dwóch punktach widzenia: czy cywilizacja niszczy czy ocali człowieka? Czy będzie antyhumanistyczna czy humanistyczna? Czy znajdzie tyle odwagi, by nie bać się — nadmiaru wolności człowieka? Czy ludzkość dorosnie moralnie, by szanować podstawowe normy społecznego współżycia w epoce, kiedy każdy będzie panem u dzielnym każdej godziny całego dnia, wszystkich wspaniałych zdobyczy, jakie w ręce rzuci mu cywilizacja? Czy produkcja bez trudu pracy, spoży cie bez płacy dadzą się urzeczywistnić wśród ludzi? Czy mając czas i środki na bogactwie nieograniczone własnej indywidualności będziemy umieli szanować indywidualność cudzą i całych innych narodów, jeżeli w ogóle nie nastąpi zatarcie fizjognmii plemiennych?

Wszystkich rzeczy miara jest tylko sam człowiek. To mądre zdanie uratowała dla nas historia z czcigodnych strzępów myśli starego świata. Jeżeli o nim nie zapomni świat nowy, zdaje się, będzie spełnione równanie: humanizm + cywilizacja = przyszłość świata.

Dr Wł. Krzyżaniak

Wg „Eulenspiegel”

HUMANIZM I CYWILIZACJA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

czy nam jako paliwo na miliony lat atomowej cywilizacji.

Fantazje przyrody i klimatu

Przeistniamy orać i siał, za niechammy podziemnej pogoni za bogactwami ziemi. Biologia rozpracuje sztuczną syntezę białek i węglowodanów. Chemia środków spożywczych i tworzy sztucznych zawładnie światem. Metoda sztucznej przemiany pierwiastków wydobyty oceaniczny wódor przetworzymy na każdy potrzebny do produkcji pierwiastek. Sztuczne tworzywa ocalą nasze lasy przed barbarzyńskim wyrębem. Zaszumią nowe puszcze, na które wydzielimy teren.

Armia 50 tysięcy drwali ścięła 30 milionów drzew dla rocznej produkcji 120 tysięcy ton naturalnego kauczuku. Tak było jeszcze niedawno. Dziś (1956) jeden tylko zakład (USA) produkuje tyleż sztucznego kauczuku pracą kilkuset ludzi. Drzewom nie grozi zagłada. Chcemy uratować i odrodzić piękno przyrody.

Będziemy kontrolować klimat ziemi. Ciepło z atomu będzie tanie i wprost pod ręką. Zastosujemy masowo walkę z brakiem opadów i ich nadmiarem. Już dzisiaj mamy dobre rezultaty próbne. Narzucimy na szemu globalny klimat taki, jakiego zechcemy. Zbadamy w bezpośrednich ekspedycjach warunki klimatyczne na innych planetach naszego układu. Zmienimy mapy fizyczne świata. Zawrócimy rzeki w ich biegu, stworzymy morza nowe, zrównamy bariery górskie, otworzymy dla ludzkości szósty kontynent Antarktydę po atomowym stopieniu jej lodowca.

Będziemy się widzieć i słyszeć wzajemnie poprzez dowolną przestrzeń.

Telewizory urzekną ludzkość

Czarodziejski ekran stanie się oknem na świat, miłosnym listem, katedrą wykładowcy, ulubioną gazetą, cementem spajającym narody, enzymem trwałego domatorstwa. Któż popędzi na mecze? Tylko zawodnik. Kibic zostanie przy telewizorze, jak student uczelni i widz operowy, bywalec rewii i klubów prasy. Zmienia się obyczaj, młodzież też będzie łatwiejsza i lepsza.

Przeciw śmierci

Wypowiemy walkę starości, opanujemy choroby zakaźne i nowotwory. Rozszyfrujemy zagadkę genów, przekazujących cechy pokoleniu po pokoleniu. Dlaczego każdy z nas jest niepowtarzalny, inny tak od drugiego? Nie chcemy tego zmieniać. Świat stałby się wtedy nudny i nieznosny. Chcemy jednak uzyskać wpływ na mutację genów. To pozwoli nam kierować ewolucją naszych organizmów, dostosować je do środowiska przyszłości.

Będziemy powszechnie korzystać z cybernetyki. „Cybernetes” to po starogrecku: sterownik. Nasi automatyczni „sternicy” staną przy maszynach. Będziemy produkować nie dotykając wcale produktu ręką. Nasi „sternicy” staną się gwarantami naszego bezpieczeństwa w podróży i w domu. „Mózgi elektryczne” przejmą trud rozwiązywania zagadnień, które założenia im tylko z góry podamy. Będą tłumaczami kongresów międzynarodowych, głównymi planistami i statystykami, będą stawiać diagnozy lekarskie i meteorologiczne. Na zasadzie związków elektromagnetycznych kierować będą lotem rakiety, archiwizować dyscypliny naukowe, podając na żądanie potrzebne fakty ze swej niewyobraźalnej pamięci.



NA SZLAKACH KOMET



— Mam swoje zdanie — powiedział — według mnie nie można pewnych rzeczy robić bezkarnie. Czyż to nie jest wymowne, że na obcym świecie znajdujemy u podstaw cywilizacji ślady kultów, podobnych do tych, jakie wytepliliśmy u siebie. Wiara w coś, co jest wieczne, była natchnieniem tych istot i widzieliśmy do jakich wspaniałych doprowadziła rezultatów. Trzeba umieć patrzeć, aby widzieć przepych tych świątyn i pałaców, rozmach kanałów, artystyczny rzeźb, i to wszystko w warunkach, w jakich u nas plemię się jedynie tundra. Wiem, co odpowiedzieć: że nie mieli rakiety międzyplanetarnej! Ale moim zdaniem pojęcie szczęśliwości jest względne.

Przerwał i zamruknął powiekami. — Mistyka! — uśmiechnął się profesor.

— Popelnicie świętokradztwo — ciągnął dalej Bowski. Nie dziwie się więc, że spotykają nas nieszczęścia. A co się tyczy mistyki, to jest ona pierwszym i najwyższym przejawem życia duchowego. Jest czymś co leży u fundamentów naszego ciała, rozumu, czymś co różni nas od zwierząt.

Profesor Watt odchrząknął.

— Mylicie się — zaczął — wszelkie wierzenia są jedynie etapem rozwoju czynności psychicznych, których ukoronowaniem jest myśl

poznawcza. Mylicie się również, że życie w mroku tych piwnicznych kolosów było przyjemne. W żadnym wypadku nie zmieniłbym go na swoje. Mylicie się poza tym również, że mistyka jest właściwa tylko istotom rozumnym. Nie będę spierał się o terminologię, ani rozwodził zasadniczo o istocie instynktów. Posłużę się raczej przykładem.

Rigo Watt zdjął okulary i obracając je w palcach ciągnął dalej.

— Na wyspie Fidży spotyka się robaka Eunice Veridis przez tubylców nazywany palolo, żyjący w morzu wśród raf koralowych. W listopadzie, w ostatniej kwadrze księżycy z robakiem tym staje się cud. Wszystkie osobniki jak na komendę rozdają się, głowa pozostaje na dnie a dolna część, będąca organami rozrodczymi, wypływa na powierzchnię morza na gody weselne. Wówczas tubylcy wyjeżdżają na morze i koszmami czerpią mięso stanowiące ich główny pokarm w tym okresie. Dotychczasowe próby wytłumaczenia dlaczego rozdzielenie następuje ściśle w dniach ostatniej kwadry, zawiodły. Nie dało się tego wyjaśnić ani cyklem przyptyków, ani uwzględnieniem elektryzacji powierzchni morza, wpływami grawitacji księżycy. Zanim nie poznamy naukowego wyjaśnienia tego zjawiska, kto chce może tłumaczyć je sobie działaniem sił mistycznych lub wyższych. Ale zaznaczam, że już Leonardo da Vinci, gdy za jego czasów krystalizację tłumaczono magicznym wpływem gwiazd ostrzegł, że wpływem tym można wytłumaczyć absolutnie wszystko i tym samym nie wytłumaczyć niczego.

— Nie o to chodzi — uśmiechnął się pobłażliwie Bowski — to, że ludzie pożerają organa rozrodcze jakiegoś robaka, świadczy jedynie o ich prymitywizmie. Nie rozumiem w ogóle, co to ma do rzeczy...

— Wolelibyście, aby ludzie raczej czuli te organa za ich nadprzyrodzone zachowanie się a sami pomierali z głodu, — przerwał chłodno Rigo Watt.

— Zaginionych nie odnaleziono. Nastroj przez cały dzień panował przygnębiony. Snuto przeróżne domysły i przypuszczenia. Jedynie Bowski był zadowolony z siebie. Chodził z rękoma w kieszeni, pogwizdując jakąś melodię, rozmawiał z fotografami, wysuszającymi do podziemi, a z zatroskanego wyrazu, jaki nadawał swej twarzy, można było wywnioskować, że dowiadywał się o wynikach poszukiwań. Potem gdzieś znikł.

Po południu nadeszła wiadomość o przebiegu zasypanego korytarza i odkryciu olbrzymiego cmentarza. Barak się wydłubił.

Bara nie pojechała ze wszystkimi. Od wczoraj, pod wpływem fresków, miała myśli zaprzęgnięte różnymi pomysłami. Czuli, że rozwój i śmierć tej cywilizacji otacza jakąś tajemnica. Kilkakrotnie w ciągu dnia zaglądała do pracowni i biblioteki, lecz rozstrągnięta nie mogła się skupić i pracować. Kilka zaobserwowanych wczoraj szczegółów absorbowano jej wyobraźnię. Dziwny szczerzek jakiegoś mechanizmu, malachitowe oko z jelenia zrenica w twarzy spadającej postaci, okrągła tarcza ze stożkiem pośrodku i wreszcie słowa Czang-Huana: „Czym żywy się to istotny”, natęczyły domagały się powiązania i syntezę. Spojrzała na zegar i zda, że ze względu na nieobecność Daga nie ma z kim podzielić się swymi myślami, jeszcze raz skierowała się do pracowni, aby zdobyć odbitek słonecznej tarczy.

Wracając mimo woli skierowała spojrzenie na mapę Marsa wiszącą na ścianie. Przyglądała się chwilę polarnym czapom, poprzecinanym liniami równoleżników i prostymi smugami kanałów, zbiegającymi się radialnie przy Wielkiej Syrcie. I nagle odkrywcza myśl jak błyskawica rozjaśniła jej umysł.

— Jakże jestem głupia — pomyślała — przecież jelenie widzą bardzo źle. Takie oko nie mogłoby zobaczyć słońca jako tarczy, a poza tym przecież to fale u góry, to woda. Rzuciła okiem na klisze i pobiegła do biblioteki. Potem siedziała w pracowni pochylona nad stosem fotokopii, cieniła je nożycami, rumieniec wystąpił jej na twarzy, a oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Inżynierowi, który wieczorem przyszedł po nią, do pustej już o tej porze pracowni, odpowiedziała, że jest zajęta i poprosiła, żeby zabral dla niej kolację.

— Bowski i Tina zaginęli — powiedział Dag Rossa, zaskoczony zachowaniem się żony, a gdy ta nie reagowała, dodał: — Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. — Idź, idź — powiedziała Bara — zaraz przyjdę. Zdaje się, że wiem wszystko.

Dag Rossa stał jeszcze chwilę, patrząc na pociecie fotografie. Cień niepokoju przemknął po jego twarzy. — Chodź! — powtórzył. — Nie przekładaj — ucieła sucho dziewczyna — powiedziałam, że zaraz przyjdę.

Dag Rossa wyszedł. Zachowanie się żony zaskoczyło go. Pierwszy raz widział ją taką. „Nerwy” — pomyślał. Sam zresztą czuł się nieswojo. Podziemie wstrząsnęło nim. Przypominało lochy więzienia, koszmarnego luksusowego wiewienia. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że całe życie mieszkańców tej planety było pasmem wszelkich udręceń, katowania w tych gigantycznych kamieniołomach. A teraz jeszcze ci zaginęli i nastroje żony. Dobrze się składa.

Ze jutro będzie jedynie pilotował statek w celu dokonania zdjęć kartograficznych planety a popularze załadunek i start na Ziemię.

Gdy obudził się nazajutrz spostrzegł, że żony nie ma w pokoju. Posciel jej była nienaruszona. Zaczął ubierać się obserwując przez okno odjeżdżające samochody. Gdy myślał twarz, Bara weszła do kabiny. Była bardzo zdenerwowana. Włosy miała w nieładzie, a oczy podkute zmęczeniem nieprzespanej nocy. Pamiętając jednak jej wczorajsze odezwanie się, udał, że niczego nie dostrzegła i zaczął się golić.

Bara usiadła na łóżku.

— Nie mogę już więcej — szepnęła, a po chwili spytała — czy Tina i ten „Palolo” wrócili?

Dag Rossa uśmiechnął się. Przezwisko Palolo dziwnie pasowało do tego dziennikarza.

— Nie wiem — powiedział odwracając się do lustra.

— Tina jest w strasznie niebezpieczeństwie — wyszeptała Bara i nagle wydało się jej, że wszystko co przeżyła i przemyslała tej nocy jest zwykłą marą sena. Że nie ma podziemia, miasta, że zaraz przy śniadaniu ujrzy zjełkioną, jakby zagubioną wśród ludzi Tinę. — Rob coś! — powiedziała i opadła na poduszkę.

— Co się z Tobą dzieje? — posłyszała głos Daga, który wyrwał ją z chwilowego omdlenia.

Zerwała się na równe nogi.

— Lecisz na zdjęcie? — spytała przypominając sobie wszystko. — Musimy być natychmiast w podziemiu, wszystkim pracującym na cmentarzysku grozi ogromne niebezpieczeństwo. Pamiętaj, jak profesor pytał, czy rzucono koło. Co tak patrzysz na mnie? Myślisz, że oszalełam? — krzyknęła Bara. — Słyszysz?! Ludzie są w niebezpieczeństwie. Patrz!

Nerwowo zaczęła szukać czegoś w kieszeniach fartucha i wsunęła wreszcie do rąk inżyniera, jakąś fotografię. Ujrzał grupę Marsjan, stojących przed odwróconą do góry nogami, jakby spadającą z nieba postacią z dużym wypłastym okiem. Jeden z Marsjan z ustami złożonymi w trąbkę zbliżył się jakby cniąc pocałować to oko.

— Co to znaczy? — powiedział Dag Rossa, odkładając zdjęcie i zbliżając się do żony.

— Jęde z Tobą, musimy tam być natychmiast a potem na biegunie. Rozumiesz, to kolo...

— Na biegunie?

Inżynier przeraził się nie na żarty. Co robić? Może Ali Keer poleci z kartografami, a on tymczasem zaopiekuje się żoną.

Bara musiała dostrzec zmianę w wyglądzie męża, gdyż po chwili odezwała się już spokojniejszym głosem.

— Słuchaj, jestem normalna, odkryłem tylko tajemnicę tych fresków. Ale teraz nie pytaj, nie mogę się skupić.

Dag Rossa powstał. Kartografowie czekali już na podwórzu. Wszyscy szybko udali się na płaskowzgórze, gdzie stał statek.

Kao Matsuoki stał na brzegu przepaści, rozjaśnionej pelzającymi mackami reflektorów i patrzył w głąb. Za nim w milczeniu skupiali się geolodzy i technicy. Niektórzy z nich operali się o kamienne ryany, które załamywały się nad przepaścią i biegly bokiem wzdłuż ścian odsoniętego turwiska, ginąc w mroku. Na dnie w czterdziestometrowej głębokości widniały wyraźnie jasniejsze kształty szkieletów i stopy bezładnie rozrzuconych kości. Patrząc na tę śmiertelną przepaść Matsuoki doznawał na przemian uczuć grozy i satysfakcji. Grozę niosły wokół wieczyste ciemności tych sklepów i niezwykle kształty kamiennych pomników, jakby zbiegłych z krainy koszmarnych narkotycznych wizji. Cmentarzysko tchnęło przeraźliwym bezsenssem jakiejś kosmicznej zagłady.

Ale z tej grozy i ciemności dla Matsuoki wschodziło słońce wielkiej, opromieniującej wszystko radości. Petardy, które skruszyły zwały osypiska, zdarły ostatnie zasłony, skrywające tajemnice tej cywilizacji. Tego ognia właśnie mu brakowało.

(Ciąg dalszy za tydzień)

Janusz Księski

Opowiadki niepedagogiczne

Przeżytki...

— Ja jutro będę przeżytkiem — wyrwał się ni ślad ni zowad podczas obiadu Staszek.

— Przeżytkiem? A to z jakiej okazji — aż się zachłystnąłem zdziwieniem.

— Mam imieniny.

— Masz co roku.

— I chcę otrzymać prezent i żeby był lepszy obiad.

— Prezent dostaniesz, na obiad będzie legumina.

— No to właśnie...

— Co właściwie?

— Właśnie będę przeżytkiem.

— Nie nie rozumiem — spojrzulem bezradnie.

— Widocznie nie czytasz „Głosu”.

— Jakiego „Głosu”?

— Waszego „Nauczycielskiego”. Tam przecież pisali, że obchodzenie imienin jest przeżytkiem czy coś takiego. I że prezentów nie trzeba dawać ani przyjmować. Nawet kwiatów.

— Po co czytasz głupstwa — zirykowałem się na dobre.

— To, po co drukują? Zresztą to drobiazg. U nas w szkole i tak są tylko same przeżytki.

— Czyżby?

— No pewnie. Jak dyrektor miał imieniny, to mu śpiewaliśmy sto lat, wręczyliśmy kwiaty, a on nie tylko, że je przyjął, ale nawet dziękował. I w ogóle się bardzo wzruszył. Też przeżytek. A tak się maskował.

Przez tyle lat uchodził za postępowego. W rewolucji 1905 roku brał udział, w strajku szkolnym i nagle masz... przeżytek. Tak, tak — jak to łatwo na kims się zawieść. Całe szczęście, że go z powodu tych imienin zdemaskowaliśmy. A swoją drogą ciekawe dlaczego wszystko co przyjemne, to od razu przeżytek. Bo imieniny są przyjemne — nieprawdaż?

Wzruszyłem ramionami i zamilczałem.

— Nie podoba się taka nowa lampa mojego pomysłu?

Obier...

...teraz wydech...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...

Obier...



Historia bez słów



Bez podpisu

Traszi

Witold Degler

„Na wydaniu”

Literaci, tak jak panie — też czekają na wydanie...

O poznańskim piśmie społeczno-kulturalnym

Nie trudno teraz być w rozterce, nad dyskusyjnym drząc dwugłosem: więc jedni czują pismo sercem — a drudzy czują pismo nosem?...

Tempora mutantur

Nie jeden „działacz” przezornie zamilkł — Wczoraj trząsł pięścią, dzisiaj — portkami.

Andrzej Napierała

Sprawa rozwodowa

Gdy ją pytano o dowód rzeczowy Odpiera cicho: — „Jeszcze nie gotowy”.

Studentce

Takie ci pytanie
Zadać mam ochotę:
— Co jest łatwiej stracić
Stępniając, czy... tnieć.



— Jeszcze kwadransik... biebiana jest już prawie sucha.